

## ARTYKUŁY RECENZYJNE I RECENZJE

**Henryk Słabek**

### **Polska współczesność w najnowszych książkach Jana Szczepańskiego, Adama Schaffa i Karola Modzelewskiego<sup>1</sup>**

Dlaczego realny socjalizm upadł (został poddany?, został obalony?)?

1. Gospodarka
  2. „Człowiek socjalizmu”
  3. Struktura społeczna
- Egalitaryzacja struktury społecznej
  - Zrelatywizowanie hierarchii społecznych
  - Rozbieżność statusu biegunowo usytuowanych grup społecznych
  - Dokąd od komunizmu?

Łączne omawianie rozpraw socjologa, filozofa i historyka jest trudne, może nawet ryzykowne, ale jednak ponad wszystko nęcące. Wiele je różni, ale też zaskakująco dużo łączy, w tym bardzo dla wszystkich charakterystyczny osobisty i obrachunkowy ton wypowiedzi.

Odmienne spojrzenia na polską współczesność ukazują ją pełniej, uzupełniając się nawzajem. Od wielu lat nie mieliśmy podobnej szansy. Spróbujmy więc chociaż częściowo ją wykorzystać; z wielu wątków i pytań — ze względu na ograniczoną ilość miejsca — będę mógł podjąć zaledwie dwa. Pocięcha w tym, że liczne dyskusje nad tymi książkami, znajdą na pewno należy im wyraz w druku<sup>2</sup>.

I. Dlaczego realny socjalizm upadł (został poddany?, został obalony?)

Podobnych pytań, przynajmniej wprost sformułowanych, nie ma w omawianych pracach. Już spisy treści informują, że nie znajdziemy pełnych, usystematyzowanych odpowiedzi. A jednak jest to wrażenie mylące; zwornikiem, zwłaszcza dwóch pierwszych książek, jawią się właśnie wyłuszczone problemy. Warto się do nich odnieść szczególnie uważnie, rośnie bowiem ich waga i społeczne nimi zainteresowanie.

Jan Szczepański, szukając źródeł i miar zmiennych zachowań i postaw społecznych, zastanawia się nad kwestią: w jakim stopniu udało się w Polsce osiągnąć trzy główne cele: uspołecznienie i rozwijanie gospodarki, wychowanie „człowieka socjalizmu”, przekształcenie struktury społecznej. Pójdźmy tym śladem.

---

<sup>1</sup> Chodzi o rozprawy: J. Szczepański *Polskie losy*, Warszawa 1993, A. Schaff, *Pora na spowiedź*, Warszawa 1993, K. Modzelewski, *Dokąd od komunizmu?*, Warszawa 1993. Prace wydała Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”.

<sup>2</sup> W prezentowanym omówieniu częściowo uwzględniłem plon dyskusji odbytych w siedzibie Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa z udziałem dwóch autorów i wprowadzającego do dyskusji prof. Aleksandra Gieysztorę.

## 1. Gospodarka

Do omawiania spraw gospodarczych niejednakowo wielką przywiązywano wagę. Podobne jest natomiast ogólne podejście. Autorów zdecydowanie bardziej niż stan gospodarki (to, „jak było naprawdę”) interesuje jej społeczny obraz. Przede wszystkim w wyobrazeniach o stanie gospodarki poszukują wytłumaczenia zmiennych nastrojów, zachowań, postaw różnych grup ludności. W tym kontekście nieistotne było ich weryfikowanie, choćby nawet tych najbardziej odbiegających od faktycznego stanu spraw. Nieprzypadkowo też nie znajdujemy w książkach prób ich weryfikacji, z jednym wszakże wyjątkiem: skrajnych opinii sformułowanych przez elity władzy w okresie „propagandy sukcesu” i po 1989 r.

W obu wypadkach głoszone poglądy na ogół nie wyrażały nawet „subiektywnej prawdy” ich autorów. Obliczone na tendencyjne sterowanie opinią publiczną, spotykały się z krytycznymi uwagami, niewolnymi również od zrozumiałego sarkazmu.

Z pewnym zaskoczeniem natomiast część czytelników może skonstatować brak opinii ekonomistów, już chociażby ze względu na to, że ich wpływ na kształtowanie ogólnej opinii o gospodarce był duży. I nie tylko dlatego.

Pożyteczne — wydaje się — byłoby dochodzenie „obiektywnej prawdy” o polskiej gospodarce — i, pośrednio, o jej społecznych reperkusjach — choćby ze względu na wyraźną opcję na rzecz jednej z ogólnych teorii tzw. realnego socjalizmu. I jej przełożenie na sytuację w Polsce.

Nie są ulubieńcami autorów wymieniani z nazwiska tzw. monetaryści i neoliberalowie (Friedrich Hayek, Milton Friedman) ani — hałaśliwie dziś wywyższana przez część ekonomistów, także polskich — szkoła Adama Smitha.

Wyraźną sympatią autorów cieszą się John Keynes i — czego niestety można się tylko domyślać — John K. Galbraith. Szkoda. Szersze wykorzystanie Galbraithowskich inspiracji mogłoby się okazać wiele pożyteczne.

W rozsianych w książkach stwierdzeniach dotyczących faktów występuje daleko idąca zbieżność, zwiększa to zaufanie do odautorskich komentarzy, ich wiarygodności i celności. Z jednym bodajże wyjątkiem.

— Sądy wartościujące dotyczą również gospodarki 45-lecia jako całości; bez prób większych przybliżeń i może bez dostatecznej pamięci o tym, że bywały też okresy ekonomicznego sukcesu.

John Galbraith, mając na uwadze właśnie społeczne funkcje i konsekwencje gospodarki, podkreślał niezmiennie jej zasadniczo odmienne trzy fazy. W odróżnieniu od ostatniej — pisał Galbraith w 1990 r. — pierwsze stadia socjalizmu charakteryzował wynik pomyślny. Najpierw ku szczególnemu pożytkowi krajów zacofanych i biednych, przeprowadzono nowy podział władzy i — w nieco mniejszym stopniu — dochodu narodowego. Następnie — z równie pozytywnie ocenianym rezultatem — zbudowano podstawową infrastrukturę gospodarczą — huty, elektrownie, kopalnie, fabryki przemysłu ciężkiego — która stanowiła rdzeń industrializacji i decydowała o efektywności siły zbrojnej. Dodajmy, że nie tylko zdaniem Galbraitha o sukcesach w rozwijaniu wieloprzemysłowej infrastruktury decydowały trzy rzeczy: pierwszorzędna rola państwa, koncentracja sił i środków, plan centralny. Ponadto w pierwszych etapach rozwoju państwowy aparat kontrolny i gospodarczy był młody, niezdemoralizowany i względnie nieliczny, a tym samym również dość elastyczny.

Te metody — według Galbraitha — stały się niefunkcjonalne i szkodliwe, kiedy próbowano przejść do modelu społeczeństw konsumpcyjnych z ich różnorodnością potrzeb i zaspokajających je dóbr. Tym zadaniom nie mógł podołać żaden planista czy urząd. Nieodzowny był rynek towarowy, funkcjonujący w zdemokratyzowanym społeczeństwie obywatelskim. Tymczasem tego właśnie najbardziej zabrakło w reformach realnego socjalizmu. Państwo i gospodarka systemowo i szczególnie szybko wyobcowywały się w stosunku do potrzeb i dążeń młodszych, lepiej wykształconych pokoleń.

Młodzieży nie zadawała „prosty awans” bytowo-zawodowy. Jej aspiracje równały do standardu życia rozwiniętych krajów kapitalistycznych, które — od pewnego okresu — coraz szybciej zaczęły zwiększać swoją przewagę ekonomiczną. Odpowiednio do powiększającego się rozziwu między aspiracjami i możliwościami ich spełnienia, pogłębiała się relatywnie społeczno-ekonomiczna niewydolność realnego socjalizmu<sup>1</sup>, tym szybciej, że równocześnie, między innymi w odpowiedzi na rewolu-

<sup>1</sup> J. K. Galbraith, *Rzeczywistość przeciw ideologii*, „Forum” 1990, nr 2 (przedruk z „The Guardian”).

cyjne zagrożenia, w najzamożniejszych krajach kapitalizm liberalny („dziki”, manchesterski) ustępował miejsca społecznej gospodarce rynkowej.

Rewolucja Październikowa — napisze Karol Modzelewski (s. 116-118) nie była przypadkiem. Mogła zwyciężyć, gdyż system liberalny nie radził sobie z problemami XX w. (kolonializm, nędza, kryzysy). Kraje Trzeciego Świata, w których panują XIX-wieczne porządki kapitalistyczne, do dziś nie są uodpornione na komunizm; w tamtejszych warunkach, również ze względów społeczno-gospodarczych, jest on ciągle żywy i atrakcyjny. Realny socjalizm zaczął wyraźnie przegrywać, ale z kapitalizmem unowocześnionym („ludowym”, z „ludzką twarzą”) i dopiero na tym etapie swego rozwoju, kiedy nieodzowne stały się intensywne i ogromnie kosztowne formy gospodarowania (nakłady na rewolucyjnie przekształcające się technologie, urządzenia informatyczne, nowe rodzaje super broni itp.).

Po państwowym przewrocie w 1989 r. bodajże nikt z publicznie wypowiadających się uczonych nie rozumował kategoriami analizy J. Galbraitha. Całkiem inaczej niż poprzednio. Jeszcze w latach osiemdziesiątych, wielu nawet najostrej kontestujących oficjalne poglądy ekonomistów czy socjologów nie przedstawiało powojennej przeszłości w jednolitych, uproszczonych wymiarach. Z braku miejsca porzucić wypadnie na jednym, lecz — jak sądzę — dość typowym przykładzie. W 1988 r. w rozprawie pod znamienym tytułem (*Stabilizacja bez uprawomocnienia*) Jadwiga Staniszkis napisała: „Dopóki system po rewolucji jest — w warunkach silnego zacofania przedrewolucyjnego — względnie sprawny i dynamiczny, legitymizuje się — przynajmniej pośrednio — wynikami awansu mas i postępem ekonomicznym kraju. Z czasem takie uzasadnienie staje się nieprawdziwe, pozostaje tylko mistyfikacja(...)”<sup>1</sup>.

W naukowych wypowiedziach, a więc i w omawianych tutaj książkach, nie kwestionuje się kryteriów Galbraithowskich ocen i periodyzacji. Najbardziej jednoznaczne tego świadectwo daje Karol Modzelewski w słowach: „dopóki o potencjale ekonomicznym i wojskowym decydował tonaż wydobytego węgla, wytopionej stali i produkcja maszyn ciężkich, dopóty komunizm dotrzymywał jakoś kroku kapitalizmowi” (s. 117). Przełożenie tych ocen na cezury społeczno-gospodarczych — a w określonym zakresie i ogólnych — dziejów Polski pozostaje natomiast sprawą otwartą. Dalszych, jeszcze trudniejszych badań będą wymagać związki zachodzące między faktycznym stanem gospodarki oraz towarzyszącym jej obrazem. Studia uwolnione od koniunkturalnej skazy mogą przynieść korekty i zaskakujące niespodzianki. Może się okazać na przykład, że planowi 6-letniemu, który *ex post* niebezczasnie osądzano bardzo krytycznie, na bieżąco towarzyszył entuzjazm nie tylko delegatów na I Zjazd PZPR.

W 1951 r. Jerzy Putrament nawoływał kolegów po piórze, by materii i twórczego natchnienia szukali „na budowlach socjalizmu”. Śmiechu i kpiny było i jest co niemiara. Czy również w 1951 r.?

Pod datą 14 stycznia 1951 r. w swoim, nie przeznaczonym do druku „Dzienniku”, podówczas „milcząca” Maria Dąbrowska skarżyła się na upokarzające trudności życia codziennego, by natychmiast, jakby sumitując się przed samą sobą, dodać: ale nie znaczy to, że jestem w ogólności przeciwniczką planu 6-letniego, jest nawet wprost odwrotnie<sup>2</sup>. W tym samym czasie już po wybraniu statusu politycznego emigranta, Czesław Miłosz był przekonany, że dobrze mu znani pisarze — jak i on sam zresztą — marzyli o ustroju, którego podstawę stanowiłaby wolność i... „gospodarka socjalistyczna”<sup>3</sup>. Zauważmy, że przywołani tu pisarze również we własnym środowisku uchodzili za najostrej kontestujących ówczesne władze i, zwłaszcza Dąbrowska, za najwyższy moralny autorytet. Można oczywiście dzisiaj, chcąc gremialnie „rehabilitować” intelektualistów, przedstawiać Dąbrowską i Miłosza jako osamotnionych „kolaborantów”. Można też, chcąc dla odmiany całe środowisko pogryźć jako kolaboranckie, twierdzić, że w innych grupach społecznych panował duch skrajnie przeciwny — oporu i walki. Jak się okazuje, można i tak, nie zwracając uwagi na brak argumentów<sup>4</sup>.

Czy, mówiąc językiem samego Miłosza, można szukać źródeł i wytłumaczenia tego rodzaju poglądów w tajnikach świata „zniewolonego umysłu”? Można, skoro do niedawna takie właśnie interpretacje

<sup>1</sup> J. Staniszkis, *Stabilizacja bez uprawomocnienia*, w: *Legitymizacja: Klasyczne teorie i polskie doświadczenia*, pod red. A. Rycharda, A. Sułki, Warszawa 1988, s. 227.

<sup>2</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1951-1957*, t. 4, Warszawa 1988 s. 9

<sup>3</sup> Cz. Miłosz, *Zniewolony umysł*, Kraków 1989, s. 54.

<sup>4</sup> Por. m.in. S. Murzański, *Między kompromisem a zdradą*, Warszawa 1993.

w samym środowisku pisarzy były niemal obowiązkowe i dość powszechne. Można też pójść innym, pewniejszym tropem, korzystając z inspiracji ogólnych dyrektyw historyzmu, które dla analizy wydażeń, głównie z okresu po 1989 r., znakomicie wykorzystał Karol Modzelewski.

Weźmy przypadek skrajny — Nową Hutę i inne wielkie przemysłowe obiekty planu 6-letniego. Ciągnęli do nich, niczym do socjalistycznej Mekki, literaci i filmowcy (był wśród nich między innymi „terminujący” w Nowej Hucie Andrzej Wajda, czego do końca lat siedemdziesiątych się nie wstydził). Tymczasem formułującym oceny po upływie 30 lat ekonomistom — i teraz już nie tylko im — jawiła się Nowa Huta wytworem antyekonomicznej, wynaturzonej wyobraźni, bo już w momencie poczęcia była przestarzała, nazbyt energo — i pracochłonna, niekonkurencyjna.

Wszystko to prawda. Więcej, Polska, przecież i gospodarczo uzależniona od ZSRR, zrzeszona w RWPG i rządzona przez komunistów-internacjonalistów nie ustawała w zadziwiającym budowaniu gospodarki autarkicznej. Czego wyrazem ma być ten zdumiewający paradoks; czyżby akurat aberracji komunistycznej myśli oraz zawodowego dyletanctwa Hilarego Minca, Stefana Jędrichowskiego i innych? Brzmi to tak uwodzicielsko prosto, że ręce układają się do okłasków, rozum zaś — do snu. A może jest jednak w tym wszystkim nieporozumienie, u którego podstaw leży grzech ahistorycznego myślenia, czyli porównywanie zjawisk nieporównywalnych. Rzecz ma pouczające historyczne precedensy.

Przede wszystkim dzięki odkryczym dociekaniom profesora Witolda Kuli, na którego i Karol Modzelewski się powołuje (s. 148-150), okazało się, że nieracjonalność XVII-wiecznej, autarkicznej gospodarki folwarcznej nie jest bynajmniej pewna. Przyjmując jako kryterium oceny współczesne kategorie rynkowe, rozszerzanie wytwórczości folwarku z myślą o samozaopatrzeniu się w przedmioty codziennego użytku i — co ważniejsze — w niezbędne narzędzia i środki produkcji jest rzeczywiście niezrozumiała; wartość gotowego produktu nie wyrównuje bowiem nawet poniesionych kosztów (siła robocza, surowce, koszty transportu). Ale rzeczywista sytuacja była zasadniczo inna od założonej. Faktycznie liczył się rachunek nie rynkowy, lecz marginalny; tylko w ten sposób mogły być wykorzystane nadwyżki pańszczyźnianej siły roboczej, a więc była ona darmowa. To samo dotyczyło wielu surowców, na przykład drzew rosnących na terenie nazbyt oddalonym od spławnych rzek. W ówczesnych warunkach autarkiczna gospodarka folwarczna nie była „anormalna”, dawała środki do życia i właścicielowi i, choć skromne, chłopom.

Ówczesni ludzie — podmioty autarkicznej gospodarki — wbrew późniejszym ahistorycznym ocenom postępowali odpowiednio do dostępnych im możliwości produkcyjnych, a więc rozumnie, zasadnie też byli zadowoleni ze współczesnego sobie postępowania. W naszym przykładzie — przy całym uszanowaniu proporcji i pewnej umowności porównań — było podobnie.

Na początku lat pięćdziesiątych podstawowym odniesieniem przy formułowaniu ocen przemysłu w Polsce stanowiła skala — poziom techniczny już w mniejszym stopniu — przemysłu Polski dwudziestolecia. Takie nastawienie, może z wyjątkiem grup specjalistów, było dość powszechne również wśród inteligencji. Nieprzypadkowo aż do drugiej połowy lat sześćdziesiątych nie niepokojona władza odmierzala postępy gospodarki metodą jej porównywania ze stanem z 1939 r. Dopiero kilkanaście lat po wojnie zaczęto patrzeć na sprawy gospodarki przez pryzmat potrzeb społeczeństwa, ale jeszcze nie odnoszono ich do gospodarczego poziomu państw najbardziej rozwiniętych; to miało przyjść jeszcze później, na szeroką skalę chyba dopiero w latach osiemdziesiątych.

Być może również w szerszym społecznym odczuciu przykładowa Nowa Huta i inne nowo wznoszone obiekty nie miały alternatywy, bo na zakup nowocześniejszych zachodnich technologii państwo nie miało dewiz.

W polskich warunkach Nowa Huta nie musiała jawić się ekonomicznym nonsensem, jakim niezawodnie by była w ówczesnym hutnictwie USA czy Niemiec Zachodnich. Nabyliśmy ją bowiem za towary, które rynek zbytu znajdowały tylko na Wschodzie. Koszty wynikające z wysokiej energochłonności mogły być obniżane zużyciem paliw, których nie mogliśmy sprzedać za dewizy, a rudy żelaza i wiele innych surowców mogliśmy nabywać w ZSRR na zasadach sprzyjających wzrostowi ogólnokrajowej produkcji. Zupełnie inaczej też niż na Zachodzie liczyła się siła robocza. Była bardzo tania.

W sumie gospodarka jako całość rozwijała się bez dopływu kapitału z zewnątrz — czego dzisiejsi ekonomiści i władze nawet wyobrazić sobie nie potrafią — dlatego przede wszystkim, że w proces produkcji zdołano włączyć miliony osób wcześniej zbędnych i bezproduktywnych.

Cenę postępu stanowiło osobliwe barbarzyństwo. „Na budowach socjalizmu” młodzi ludzie żyli w okropnych warunkach (chłód, bród, błoto, nieludzka harówka, pijaństwo). Ale równocześnie tej młodzieży, wywodzącej się głównie ze wsi i z rodzin chłopskich, nie opuszczały optymizm i ofiarność, bo i tak przed nią „otwierał się świat”.

Dlaczego intelektualiści klasy Dąbrowskiej czy Miłosza, znani również ze swej społecznej wrażliwości, nie mieliby stać po stronie wszystkiego — niechby i z 6-latką włącznie — co zdawało się umożliwiać kreację Wajdowskich Birkutów?

## 2. „Człowiek socjalizmu”

Spełnienie wizji „nowego człowieka” napotkało ogromne przeszkody. Owa wizja nie musiała być sama w sobie ani dobra, ani zła (nie pada słowo utopia). Rzecz w tym — mówi Szczepański — że model „człowieka socjalizmu” — zresztą, dodajmy, nigdy dokładnie nie określony — pozostawał jednak odrealnioną abstrakcją, pozbawioną oparcia w życiowych doświadczeniach ludzi. Równocześnie nie istniała pedagogika, która w chowaniu takiego człowieka była by skuteczna. „W kłęsce pedagogicznej — konkluduje profesor — dostrzegam ważny czynnik załamania się planów zbudowania socjalizmu. Polityce, gospodarce, kulturze zabrakło ludzi, którzy mogliby w pełni wprowadzić w życie idee ustroju. Zabrakło przekonanych i oddanych zwolenników, zabrakło charyzmatycznych przywódców, zabrakło ludzi twórczych... Socjalizm, nie mając «swoich ludzi», nie mógł się zrealizować i musiał upaść” (s. 39-40).

Zamiast „człowieka socjalizmu” pojawiał się *homo sovieticus*. Kto się pod tym pojęciem kryje? Z przypisywanych mu przez autora cech można by wnioskować, że był to bądź tak zwany aktywista partyjny (bierne poddanie się instytucjom partii i państwa, akceptacja ich siły i władzy nad sobą, bierne powtarzanie deklaracji ideologicznych itp.), bądź osobnik, którego mentalność i zachowania sławny Oscar Lewis kojarzy z „filozofią nędzy” (bierność, niesolidność, brak odpowiedzialności, nieufność, życie z dnia na dzień itp.). Być może inaczej niż Jan Szczepański, żadnej z tych dwóch postaci *homo sovieticus* nie wiązałby wyłącznie czy choćby przede wszystkim z wprowadzaniem w życie elementów ustroju socjalistycznego (s. 41). Może trafniejszy byłby pogląd, że tę drugą postawę przede wszystkim generują zafocianie i nędza, niezależnie od ustrojowej formy państwa; zarówno na przykład na „socjalistycznej” Kubie, jak i w „kapitalistycznej” Boliwii. Pierwszą odmianę *homo sovieticus* być może słuszniej było by łączyć z takimi cechami państwa — również niezależnie od jego ideologiczno-ustrojowego charakteru — jak gospodarcza omnipotencja, dyktatura i terror, ideologiczny fanatyzm. Czy aktywista PZPR z lat siedemdziesiątych, na przykład, bliższy był wizerunkowi funkcjonariusza stalinowskiej WKP(b) niż funkcjonariusz NSDAP końca lat trzydziestych? Podobnie retorycznych pytań można by znaleźć więcej. Jeśli tak, to już sama nazwa (sowiecki) być może dezinformuje, a w każdym razie zawęży wywoływane konotacje i kryjące się pod nią treści.

Należy zgodzić się z Janem Szczepańskim, że problem jest ciągle sporny i mało zbadany. Trudno pozbyć się wrażenia, że *homo sovieticus* mocno sterany i wysłużony w bataliach „zimnej wojny”, również w Polsce gwałtownie traci wzięcie, ostatnio także wśród wysokich gremiów Kościoła. W obliczu orientacji Watykanu na poprowadzenie kampanii ewangelizacyjnej opierającej się na wartościach społeczeństw postsocjalistycznych, na listopadowej konferencji w KUL-u ks. prof. Józef Tischner, twórca definicji polskiego *homo sovieticus*, miast z kolejnym aplauzem spotkał się z gorzkimi wyrzutami, z oskarżeniem o spotwarzanie polskiego narodu włącznie.

## 3. Struktura społeczna

Zdaniem Jana Szczepańskiego robotnicy nie wypełniali wyznaczonej dla nich przodującej i kierowniczej w społeczeństwie roli. Raz po raz wznicali antyrządowe bunt. Dokonywała się nie tyle urbanizacja wsi, ile ruralizacja miast. Żywioł chłopski wносił do miejskich społeczności „cały zespół cech umysłu, stosunku do świata, rzeczy i ludzi, stosunku do przyrody, które to cechy były dość dalekie od ideału rewolucyjnej mentalności robotniczej” (s. 44).

Inteligencja, ulegając głębokim przeobrażeniom — już jej liczba wzrosła kilkunastokrotnie — ostatecznie nie przekształciła się w warstwę wobec robotników służebną („oficerowie produkcji”) ani w „ideologów i twórców, realizujących wizje nowego ładu społecznego” (s. 45).

Na wsi dokonywały się procesy nie mieszczące się w planach socjalistycznych (socjalizacja wsi przy zachowanych indywidualnych gospodarstwach rolnych i prywatnej własności ziemi, powiększanie się grupy chłopów-robotników, przekształcanie chłopów w rolników).

W sumie nie udało się przebudować struktury społeczeństwa w taki sposób, „by wytworzyć klasową bazę ustroju”. Robotnicy, chłopci, inteligencja, drobnomieszczactwo — wszystkie te klasy nie podjęły roli oczekiwanej przez partię, a wprost przeciwnie, „pozostawały w biernej opozycji, często aktywizowanej” (s. 49).

\*

*Krach komunizmu — jego przyczyny i skutki.* Tak zatytułował Adam Schaff jeden z fragmentów swojej książki, poświęcony ZSRR. Negatywną rolę odgrywały różne czynniki. Wszakże „los rewolucji październikowej — stwierdza autor — a z nim również światowego ruchu komunistycznego został przypiętowany przez grzech pierworodny jej poczęcia i narodzin” (s. 104, podkr. H. S.).

Ten „grzech”, to przeprowadzenie rewolucji w kraju zacofanym, w dodatku wyniszczonym wojną. Nie można zbudować socjalizmu bez demokracji, a tej — dowodzili m.in. Kautsky, Luksemburg, a przede wszystkim Antonio Gramsci — bez poparcia większości społeczeństwa, w warunkach rosyjskich było nierealne. Na nieszczęście rzecz się zakończyła kilkadziesiąt lat trwającą „dyktaturą proletariatu”. Gdy się opamiętano, ogłoszono pierestrojkę Gorbaczowa, ale szanse nie udało się już wykorzystać.

Przed wszystkim Adam Schaff nie jest skłonny łączyć upadku komunistycznej władzy i realnego socjalizmu — choć w miarę upływu czasu to drugie staje się tak niejasne, że wymagałoby oddzielnej dyskusji — ze słabościami polityki. Nie jest to orzekanie dyktowane prezentystyczną próbą podporządkowania się „wynikowi historii” czy — o co tym bardziej trudno byłoby pośadzać autorów — próbą rozgrzeszania „błędów i wypaczeń” ekip partyjno-rządowych. Autorzy, uwalniając się od wewnątrzsystemowej szarpaniny interpretacyjnej, zdają się mieć rację, której wszakże uzasadnienie — to też ważne — nie musi być zbieżne z zimnowojenną argumentacją ośrodków antykomunistycznych. Myślę o tym, że przeciw władzy — a może i systemowi, ale to dopiero przyszłość wyjaśni — nieraz zwracały się również dokonania autentycznie dla społeczeństwa i kraju korzystne. Dzieje PRL pełne są tego rodzaju paradoksów, które rzeczywiście każą wątpić, czy wyeliminowanie niedomagań władzy mogłoby zapobiec jej upadkowi. Odwołajmy się zatem do faktów.

### **Egalitaryzacja struktury społecznej**

W konfliktach społecznych międzywojnia państwo odgrywało rolę mediatora, a po wojnie — stało się jedną z dwu zantagonizowanych stron. W miastach nowe usytuowanie państwa tłumaczyło się tym, że stawało się ono monopolistycznym właścicielem i pracodawcą. Pretensje za wszelkie nie zaspokojone potrzeby i aspiracje świata pracowniczego kierowały się nieuchronnie przeciw rządowi i partii, a pośrednio, kumulatywnie — i przeciw systemowi.

W ówczesnym egalitarnym społeczeństwie miejskim — co zresztą z perspektywy obecnych doświadczeń bodajże coraz częściej kojarzy się pozytywnie — podział na „my” — „oni” musiał być i był jednoznaczny. Rozumiejąc to, rządy lat osiemdziesiątych próbowały się ratować spóźnioną decentralizacją zarządzania i odpowiedzialności, a rządy solidarnościowe — nie uwzględniającą nowej sytuacji i tym samym również dla siebie fatalną, ciągle popędzaną prywatyzacją mienia państwowego.

Na marginesie wątpliwość. Czy robotnicy nie poddawali się pedagogicznym zabiegom państwa i nie stawiali się „klasową bazą ustroju”, ponieważ jako klasa ulegali hybrydyzacji, czyli przemieszaniu z żywiołem napływowym, przede wszystkim chłopskim? Wyniki części sondaży zdają się temu przeczyć. Szczególnie w pierwszym powojennym okresie na Śląsku na przykład — gdzie przeprowadzono wiele szczegółowych badań — dawała się zauważyć swoista prawidłowość; im bardziej stabilna była załoga (porównywalnie w górnictwie lub hutnictwie), tym większą przejawiała determinację w akcjach strajkowych i nie poddawała się łatwo wpływom PPR. Zachowania klasowych imigrantów były natomiast zróżnicowane. W wielkomiejskich załogach, gdzie stanowili oni mniejszość, w akcjach oporu poddawali

się kierownictwu kadrowych robotników. Równocześnie w zakładach przemysłów sezonowych (minalny, spożywczy), złożone głównie z chłopów-robotników, było relatywnie bardzo wielu członków PPR i zachowywały się one nieporównanie bardziej potulnie. Z czasem i chłopci-robotnicy równali w szeregu, bo nie „wdzięczność” nawet za autentyczny i osobiście doceniany awans określała ostatecznie postawę, lecz ich nowe usytuowanie, w stosunku do pracodawcy (państwa) często antagonistyczne.

I jeszcze jedno. Kadrowi robotnicy, szczególnie ci młodszy i o wysokich kwalifikacjach, myśleli nie tyle o odegraniu roli „przodującego oddziału klasy robotniczej” — o czym śniła urzędowa propaganda — ile o możliwie rychłym z tej klasy wyjściu do rzemiosła lub inteligencji. Jak bardzo amorficzna musiała być samoidentyfikacja, jeśli w końcu lat pięćdziesiątych, na przykład, dwóch z pięciu robotników marzyło o prywatnym warsztacie lub o wybiściu się na technika lub inżyniera, a tylko co trzeci liczył się z tym, że do końca swojej zawodowej kariery pozostanie robotnikiem<sup>1</sup>.

Wbrew pozorom wobec wsi i na niej samej działały analogiczne mechanizmy również wówczas, kiedy prywatna własność ziemi i gospodarstw była niezagrożona lub nawet korzystana z państwowego wsparcia.

W Polsce międzywojnia doskwierało chłopu pięć sprzeczności; trzy z nich dzieliły go ze światem zewnętrznym, a dwie występowały wewnątrz wsi i samej warstwy chłopskiej. W kolejności określić je można następująco: chłopci a folwark, chłopci a monopol cen, chłopci a władza (szczególnie finansowa) oraz chłopci a inteligencja wiejska (na wielu terenach rażąca niewspółmierność udziału w dochodach, wykształceniu i kulturze, społecznym prestiżu) i wreszcie chłopci biedni a chłopci bogaci.

Po wojnie sytuacja zasadniczo się zmieniła. Na miejsce obszarniczego folwarku wchodziły państwowe ośrodki produkcji i oświaty rolniczej. Prywatnego monopolistę cen zmienił państwowy przemysł i „upaństwowiona” spółdzielczość (kontraktacja). Jednolity podatek gruntowy zastępowano mnożonymi tytułami płatniczymi (przejściowo nawet szarwarkami i tzw. dostawami obowiązkowymi), sprzyjając tym samym licznyim urzędniczym nadużyciom i rozpalaniu, w latach pięćdziesiątych szczególnie, sytuacji konfliktowych do rozmiarów wyniszczających psychicznie rodziny chłopskie.

Tym sposobem, inaczej niż przed wojną, państwo zyskiwało walny wpływ na dostęp rodzin chłopskich do dochodów, wykształcenia i władzy (w lokalnych instytucjach). Również w tym wypadku adresatem niemal wszelkich pretensji pozostawały instytucje państwowe, tym bardziej, o paradoksie, że dwie ostatnie ze wspomnianych sprzeczności, ku wielkiemu pożytkowi chłopów, udało się ograniczyć i przekształcać.

Chłopci w samej wsi i jej otoczeniu — w relacji do lokalnych urzędników, nauczycieli, lekarzy, księży — przestają być obywatelami pośledniejszej kategorii. „Wielmożnym panom” rzadziej czapkują, samej przedwojennej tytulatury już jakby nie pamiętali, od nich jak i od siebie wymagają przede wszystkim wypełniania zawodowych powinności. Od własnej upokarzającej przeszłości odchodzą oczywiście stopniowo, ale dość pewnie, bo i podstawy wybijania się na osobistą niepodległość były niepowtarzalne.

Chłop mógł się czuć niezależny materialnie (w wielu wypadkach ma się lepiej od wiejskiego inteligenta), sam wie więcej niż niegdyś, więcej też może uczestniczyć w życiu publicznym. Po wtóre: inteligencja wiejska również staje się inna; większy jej odsetek wywodzi się ze wsi. Przy tym — co ważniejsze zapewne — młodzi inteligenci o chłopskim rodowodzie — inaczej niż przed wojną — na ogół nie pasują się na „panów”, nie „wysferzają się”, nie poddają się „skundleniu” — przed którym w ślad za Józefem Chałasińskim i Bogdanem Suchodolskim przestrzegał nadaremno Melchior Wańkowicz — są bardziej swojscy, mniej onieśmialają, więcej mogą pomóc, bo na sprawy wsi są otwarci i dobrze je znają. Po trzecie: w kontaktach z miejscową inteligencją chłop dowartościowywał się zapewne widząc, że jego czy sąsiadów dzieci pokończyły szkoły wyższe, że piastują wysokie i odpowiedzialne stanowiska. W takich sytuacjach prestiż miejscowego wiejskiego inteligenta czy urzędnika podlegał relatywizacji, obniżał się.

<sup>1</sup> Na podstawie badań J. Szczepańskiego, M. Jarosz, M. Jarosińskiej, J. Kulpińskiej, H. Najduchowskiej, K. Lutyńskiej, W. Wesółowskiego i innych. Zob. H. Stabek, *Historia społeczna Polski Ludowej 1944-1970*, Warszawa 1988, s. 440-441, 459 i inne.

Mieszane chłopsko-inteligenckie małżeństwa zdawały się potwierdzać prawdę, że grup tych już nie dzieli przepaść, że możliwe jest ich współdziałanie i solidarne wystąpienia na zewnątrz, najchętniej przeciwko omnipotentnej władzy.

Wreszcie sprzeczności, występujące wewnątrz warstwy chłopskiej, również podlegały znacznemu złagodzeniu. Także ongiś najbiedniejsze rodziny usamodzielniały się materialnie bądź dzięki powiększaniu swych gospodarstw, bądź podejmując dodatkową zarobkową pracę. Zanikała instytucja parobków i wyzysk. Stały bariery oddzielające różne grupy chłopskie. Warstwa chłopów przekształcała się w zwartą klasę.

Egalitaryzacja stosunków tłumaczy wewnątrzchłopską solidarność, ale nie do końca. A poza tym skąd się brała amorficzność chłopskich zachowań, ich nieprzewidywalność, klasowa „irracjonalność”?

### Zrelatywizowanie hierarchii społecznych

Pewne wyjaśnienie można znaleźć w zjawisku, określonym przez Jana Szczepańskiego jako klasowa hybrydyzacja. Zgoda. Niemniej zasadnicze znaczenie, jak myślę, miał proces dotychczas przez socjologię słabo rozpoznany, który można by zawrzeć w tezie o względności powojennych awansów i degradacji społecznych.

Na czym owa względność polegała? Otóż, w toku przemian wszystkie grupy rolnicze, z rodzinami byłej służby folwarcznej i — na drugim biegunie — najzamożniejszych chłopów włącznie, znajdowały się w sytuacjach złożonych — równocześnie korzystnych i niedogodnych.

Z owoców agrarnych i przemysłowych przeobrażeń przetrwały biedne i najbiedniejsze grupy chłopów. Ale inaczej — o czym mniej wiadomo — było z niesłychanie cenionym przez chłopów dostępem do szkół średnich i wyższych, a w konsekwencji do pracy umysłowej. W tym wypadku relatywnie większe korzyści odnosiły rodziny pełnorolne (ponad 10 ha), które i przed wojną należały do względnie zasobnych. W rodzinach tej kategorii było aż dwukrotnie więcej dzieci kończących wyższe studia. Wśród profesorów, artystów czy znanych w kraju ludzi polityki chłopskiego pochodzenia bodajże przynajmniej większość stanowili gospodarscy synowie, a więc ci, których rodzice również przed wojną posiadali większe gospodarstwa. Dzieci byłych robotników rolnych i chłopów-robotników wprawdzie także osiągały wyższe niż ich ojcowie wykształcenie, ale nie o tyle, by mogły się znaleźć w innej niż oni sytuacji społecznej; na ogół i dzieci lokowały się w dolnych rejonach hierarchii społecznej.

W następstwie, mówiąc metaforycznie, trzech rewolucji: agrarnej, przemysłowej i geograficzno-oświatowej (migracje i szkoły) — w społecznej strukturze wsi zanikały jej dawne bieguny, odbywał się wielki ruch ku środkowi, ku redukowaniu dawnych dystansów. A równocześnie w jakimś stopniu dziedziczyły dystanse społeczne zarówno dzieci pozostające na wsi, jak i te, które dzięki zdobyciu wykształcenia przechodziły na stałe do miast, o tyle układy w wioskowej hierarchii były kontynuowane<sup>1</sup>.

Podobnie było w miastach. Tutaj, oprócz wywłaszczonej burżuazji, „wielkim przegrany” byli właściwie wysoko wykwalifikowani inteligenci tak zwanych wolnych zawodów i służb publicznych. Lekarze, adwokaci, dziennikarze, profesorowie, wojskowi wysokich rang i urzędnicy tracili bardzo dużo — wysokie dochody, pozycję społeczną i prestiż. Jeszcze w kilkanaście i kilkadziesiąt lat po wojnie ludzie tych zawodów zarabiali mniej niż przed 1939 r.

Równocześnie rosła w cenę praca fizyczna. Relacja przeciętnego wynagrodzenia obydwu kategorii pracujących wyrażała się w stosunku 3:1 na korzyść pracowników umysłowych w 1937 r. i 1,2:1 w latach sześćdziesiątych.

Proces degradacji i awansów, podobnie jak na wsi, miał jednak charakter względny. Dystanse społeczne, aczkolwiek w złagodzonej formie, były dziedziczone. Dzieci inteligentów, w stosunku do rówieśników ze środowiska robotniczego czy rzemieślniczego, o wiele częściej kończyły szkoły wyższe — nawet w okresie stalinowskim — a na najpopularniejszych wydziałach (akademie medyczne, architektura, szkoły artystyczne) — stanowili przynajmniej większość.

<sup>1</sup> Na podstawie badań S. Iwaniaka i własnych, tamże, s. 409-412, i inne.



I jeszcze jedno: wewnątrz warstwy inteligenckiej i robotników być może (brak odpowiednich badań) dystanse społeczne były przenoszone na następne pokolenie, tak samo jak w przypadku ludności chłopskiej.

Trzy cechy struktury społecznej — egalitaryzacja, zrelatywizowana hierarchiczność i hybrydyzacja — stanowiły — oprócz wielu innych czynników — podstawę wewnątrz — i międzyklasowej solidarności. Nowym układom społecznym — płynnym i słabo zakreślonym — towarzyszyła ambiwalentność polityczna i amorficzność jednostek i całych grup ludzkich. Również po przewrocie — rzecz charakterystyczna — bieg politycznych wypadków dyktują łagodni rewolucjoniści i jeszcze łagodniejsi kontestatorzy. Z dnia na dzień zmieniają się polityczne orientacje i przynależność partyjna (nawet części posłów), a partie i programy nie potrafią odnaleźć własnej podstawy społecznej. Stowarzyszeni szaraczkowie, inaczej niż żyjący z polityki partyjni przywódcy, nie są skłonni kruszyć kopii o racje swoich partii. Zupełnie tak samo jak w 1989 r., kiedy członkowie PZPR nie bronili odchodzącego realnego socjalizmu, ani — z drugiej strony — nie potępiali go totalnie (por. J. Szczepański, s. 24, 104 i inne).

Wreszcie ostatnie pytanie. Przecież baza społeczna „kreowała” nie tylko polityczną ambiwalentność. Czy w strukturze społecznej nie było przekształceń, wskutek których potęgował się gwałtownie sprzeciw wobec porządków realnego socjalizmu, a „wykruszali” się ci, którzy mieli stać na straży jego nienaruszalności? Wydaje się, że tak. A wyjaśnić trzeba by chyba szukać w zjawisku nazywanym przez socjologów rozbieżnością statusu społecznego.

### **Rozbieżność statusu biegunowo usytuowanych grup społecznych**

Grupom społecznym, które w latach osiemdziesiątych już dość szybko się bogaciły (drobni przedsiębiorcy w handlu i przemyśle, właściciele większych zakładów rzemieślniczych, handlarze i waluciarze, część ogrodników), ogromnie imponowało, że nie urzędnicze, lecz ich kariery (pieniądze, wille, wystawne przyjęcia i bale z udziałem artystów wynajmowanych do muzykowania, śpiewu i recytacji, zagraniczne wycieczki, korumpowanie „gołych” gryzpiórków itp.) stają się wyśnionym wzorem awansu społecznego. Ale równocześnie „nowobogackim” doskwierała świadomość, że w polityce nadal są niczym, a ich ciągłemu niedowartościowaniu pod względem prestiżu społecznego („badylarze”, „cinkciarze”, „inicjatywa prywatna”) winna jest jeszcze nie ich władza. Działał mechanizm zadziwiający, w „normalnych”, czyli kapitalistycznych warunkach nie do pojęcia: im bardziej był ktoś zamożny — niechby i bezpośrednio za sprawą władzy — tym ostrzej z czasem tę władzę zwalczał.

Idąc śladem rozumowania Szczepańskiego dodajmy, że podobnie reagowały inteligenckie środowiska opiniotwórcze: im więcej zyskiwały swobód i względnych szans, tym więcej zgłaszały postulatów dalej idących, aż po uszanowane w końcu żądanie, by władza dopełniła polityczne harakiri.

W 1989 r. doszło do rozstrzygnięć zasadniczych, ale zadowolających tylko w odczuciu części elit inteligenckich. Te cieszyły się powrotem do „własnego domu”.

Szczególnie ta część inteligentów (profesorów, artystów, ekonomistów), która obsiadła stanowiska członków bądź doradców, konsultantów itp. w rządzie, urzędach, sejmie i senacie, bez większych zgryzot moralnych rozstawała się z pracowniczym etosem pierwszej „Solidarności”. Jak pisze ze zdumieniem i wyrzutem Karol Modzelewski, już jesienią 1989 r. wczorajsi związkowi przywódcy i doradcy w okamgnieniu przedzierzgałi się w liberałów przewodzących rządowym działaniom, które miały spychać milionowe pracownicze zastępy „Solidarności” w stronę niedostatku i nędzy (s. 11).

A jednak gwałtownie rozrastająca się „klasa nowobogacka” niezupełnie była ukontentowana. Upadek realnego socjalizmu oczywiście cieszył, tak samo jak wyrzucenie z posad ludzi starego aparatu. Natomiast formująca się nowa nomenklatura, teraz nazywana wdzięcznie „klasą polityczną”, rodziła mieszane uczucia. Doceniano jej zasługi i początkowo niezastąpioną rolę w przywracaniu krajowi „normalności”, czyli — jak to określa Jan Szczepański — kapitalizm ubogich. Niemniej z punktu widzenia nowobogackich nowa klasa polityczna miała też fatalne wady; z mentalności i położenia była inteligencka, a ponadto ustawiała się w pierwszym szeregu zasłużonych i z tego tytułu zgłaszających uzasadnione, i dlatego groźne, roszczenia do odgrywania w państwie współdecydującej i samodzielnej roli.

Rozpoczął się okres rywalizacji, powrotu do piór, na katedry i na sceny. Różnica była m.in. taka, że tym razem pisarze, profesorowie i artyści mieli wracać do swej zawodowej roboty nie z wieców, mityngów i tasiemcowych zebrań — jak w 1956 r., lecz z państwowych urzędów i stanowisk.

Wybuchło zamieszanie tym większe i tym bardziej przykre, że „antyinteligencją” kampanię z uporem i hałaśliwie kontynuowały bodajże wszystkie polskojęzyczne radiostacje zachodnie. Rywalizacja trwa. Również zdaniem wielu intelektualistów (Cz. Miłosz, G. Herling-Grudziński) skończy się ona dla inteligencji wynikiem opłakanym, bo taka kolej rzeczy jest wpisana w dochodzenie do „normalności”. Od pewnego momentu nowobogacka burżuazja w organach władzy nadal wprowadzaje inteligentów potrzebuje i znosi, ale już tylko jako wykonawców, a nie partycypujących w stanowieniu polityki (prasa codzienna przynosi również przezabawne tego przykłady).

Dość pesymistyczną, choć nie aż tak jednoznaczną prognozę już w pierwszej połowie 1993 r. formułował Jan Szczepański, pisząc: „W strukturze społecznej tworzą się dwie rywalizujące klasy: klasa polityczna, walcząca o władzę, sprawująca władzę polityczną, i klasa przedsiębiorców, zmierzająca do kontroli całości gospodarki wraz z sektorem państwowym. Pozornie te dwie klasy z sobą współdziałają, ale konflikt interesów wydaje się nieunikniony” (s. 114).

A teraz pytanie z drugiego bieguna. Gdzie byli w latach 1989-1990 strażnicy „imperium zła”: policja polityczna, wojskowa i milicyjna szarża, partyjni aparaczczyki, tysiące dyrektorów państwowych przedsiębiorstw i instytucji, itd? Przewrót o historycznej wadze dokonał się bezkrwawo, bez przysłowiowego jednego wystrzału, jeśli nie liczyć wyjątków, co wprowadziło Zachód, nie wyłączając instytutów sowietologicznych, w stan radosnego osłupienia. I nic dziwnego, bo był to precedens. Z licznie wymienianych powodów (totalne zwątpienie, ekspiacyjna euforia, strach, odgórna zdrada itp.) tu interesuje nas jedno: czy w tym wypadku można tłumaczyć zachowania rozbieżnością statusu społecznego, a jeśli tak, to w jakim stopniu.

Ludzie tak zwanej nomenklatury w latach osiemdziesiątych nie byli niczego pewni. Ani swej władzy, która słabła, ani swych stanowisk, albowiem tzw. kadry w miarę narastającego w kraju buntu, stawały się monetą przetargową w rękach próbującego się ratować establishmentu; ani nawet — bywało — swoich dzieci; ich część najbardziej społecznie wrażliwa, odczuwając swego rodzaju „klasowy wstyd” z powodu konsumowanych przywilejów nomenklatury, buntowała się przeciw ojcom, przeciw ich życiu sprzecznemu z głoszonymi przez nich ideałami socjalistycznymi. Przekonania lub uświadamiana sobie konieczność podsuwała myśl o powstrzymaniu się od kontrdziałań wymierzonych w „Solidarność”, tym silniej — co podkreślają wszyscy trzej autorzy — że w dość powszechnym odczuciu również „Solidarność” nie zamierzała nawracać do kapitalizmu.

Na marginesie ciekawa analogia, która coś tłumaczy. Komuniści po dojściu do władzy, ustrój, który budowali, nazywali demokracją ludową, a solidarnościowi prominenci — dochodzeniem do „normalności”, do ładu, „który się sprawdził na świecie” lub „gdzie indziej”. Jak pierwszym początkowo nie przechodziło przez gardło słowo „socjalizm”, tak drugim — „kapitalizm”. I jedni, i drudzy, obawiając się negatywnej reakcji świata pracy, wprowadzali nowy ustrój „kuchennymi drzwiami”.

Zdaniem Karola Modzelewskiego gdyby masowo-pracownicza „Solidarność” była taka, jak przed stanem wojennym, żaden rząd nie poważyłby się przyjąć programu kapitalizmu przynajmniej w wersji Balcerowicza (s. 24).

Lecz przecież byli i tacy ludzie starego reżimu, którzy pod koniec lat osiemdziesiątych nie żywili już złudzeń, że Polska nie wejdzie w orbitę prostych zależności i porządków Zachodu. I w polskiej wyobraźni zaistniał przecież ten NRD-owski moment, kiedy z dnia na dzień — przynajmniej z pozycji prolewicowo zorientowanych środowisk — nadzieja na tzw. trzecią drogę (*Wir sind das Volk*) kończyła się pełną kapitulacją (*Ein Volk ein Staat*). Trudno wykluczyć, że nie myślała tak część elektoratu, która w wyborach 1989 r. głosowała na kandydatów „Solidarności” (np. wśród tych ponad 80 proc. względnie uprzywilejowanych pracowników ambasad PRL, którzy głosowali nie na Jerzego Urbana, lecz na Andrzeja Łapickiego). Ta grupa nomenklatury — jak się wydaje — już od początku lat osiemdziesiątych przygotowywała się do życia po drugiej stronie barykady (kontakty, uwłaszczanie się itp.), bądź to z konieczności, bądź — co warto podkreślić — z wolnego wyboru.

Dla aideologicznych funkcjonariuszy, którym udało się zgromadzić pewien majątek, urządzenie siebie i dzieci w warunkach wolnego rynku wręcz nie miało alternatywy. Nieprzypadkowo, nie tylko w ZSRR przecież, realny socjalizm odchodził na zasadzie samozniszczenia i odgórnej samolikwidacji. Czy zachodni sowietolodzy rzeczywiście wykluczali tego rodzaju obrót spraw, czy nie wyobrażając sobie egzystencji własnej i świata bez nomenklaturowego demona-straszaka, nie chcieli tylko o tym (i nadal

nie chcą) mówić? Raczej to drugie, bo nie sposób przypuścić chociażby, że nie studiowali antystalinowskiej lewicowej literatury; na przykład głównego dzieła Lwa Trockiego z 1936 r. (*Zdradzona rewolucja*). Aparat stalinowski — twierdził Trocki — nie ustanie w działaniach kontrewolucyjnych, z podjęciem prób samouwłaszczenia się włącznie. Ale robotnicy — dodawał Trocki — nie dadzą się wydziedziczyć i ubezwłasnowolnić. Czy i ta hipoteza się sprawdzi? Wątpliwe, choć i tego wykluczyć się nie da, również w świetle omawianych rozpraw.

## II. Dokąd od komunizmu?

Zdaniem autorów, historia ludzkości ani nie samorealizuje się wedle jakiejś celowościowej zasady, ani też nie ma końca. Dystansując się od dziejowego ducha heglizmu, żaden z autorów nie wieszczy powrotu realnego socjalizmu, ani — z równą konsekwencją — nie żywi złudzeń w stylu uciecznych objawień Francisa Fukuyamy. Zamiast prorocत्व i przesądzania form dalszego rozwoju, autorzy koncentrują swą uwagę na formułowaniu pewnych ogólnych przesłań i przestróg.

Karol Modzelewski, nie wybiegając poza horyzont aktualnych, nowoczesnych form kapitalizmu, przestrzega obrazowo, iż bez zmiany polityki postsolidarnościowych rządów, miast zbliżyć się do modelu stosunków „państwa dobrobytu” (Austrii, Szwecji, Niemiec), wkroczyliśmy na drogę, która niezawodnie doprowadzić nas może do samej Boliwii. Upadek realnego socjalizmu — zdaje się mówić autor — niczego automatycznie nie przesądza; pojawia się szansa postępu, lecz równie łatwo przydarzyć się nam może długookresowy cywilizacyjny regres.

Dalej idzie Adam Schaff. Na polską współczesność i przyszłość patrzy z perspektywy formacji postkapitalistycznej, która na Zachodzie — tym razem nie tylko w jego opinii — staje się już odczuwalna w codziennym życiu milionów ludzi.

W dobie rewolucyjnego rozwoju techniki człowieka wypierają automaty i roboty najpierw z fabryk, a następnie z usług. W konsekwencji pogłębiające się strukturalne bezrobocie będzie przeradzać się w proces „zamierania pracy”. Również zdaniem Petera Druckera — amerykańskiego autora rewelacyjnej książki *The Post-Capitalist Society* (1993) zmienia się miejsce dotychczasowych aktorów kapitalistycznego społeczeństwa. Tracą na znaczeniu kapitałiści, maleją bowiem relatywnie ich kapitały (w stosunku do funduszy publicznych, np. emeryckich) i ich bezpośredni udział w procesach wytwórczych (rozrost instytucji menedżerów). A na drugim biegunie topnieje liczba robotników. Zasadniczym „czynnikiem produkcji” nie będzie kapitał, ziemia i praca, lecz wiedza. Uformują się dwie podstawowe klasy: „robotnicy wiedzy” i „robotnicy usługowi”.

W kwestii przewidywanych konsekwencji ustrojowych nie ma zbieżnych zdań. Według Druckera, który nie wdaje się w bliższe określanie zadań pozostających do rozwiązania w skali światowej, postkapitalizm zachowa wolny rynek i inne podstawowe instytucje gospodarcze, choć niektóre z nich (np. banki) — zastrzega Drucker — mogą działać w zmodyfikowany sposób. W każdym razie z postkapitalizmem — co Drucker specjalnie podkreśla — nie kojarzy mu się ani marksizm, ani socjalizm<sup>1</sup>.

Podejście Adama Schaffa, aczkolwiek złożone, jest z gruntu inne. Charakter postkapitalizmu — mówi Schaff — oprócz uwarunkowań techniczno-technologicznych, określać będzie przyszłość, obciążające ją problemy. Kapitalizm, choćby jeszcze bardziej unowocześniony, z natury rzeczy (bezwzględne prawo zysku, konkurencji i walki) nie będzie w stanie uwolnić ludzkości od apokaliptycznych zagrożeń, od gigantycznego bezrobocia i brzemiennego konfliktu Północ — Południe, nie rozbroi bomby atomowej, ekologicznej i demograficznej.

W epoce przechodzenia od cywilizacji pracy do cywilizacji zajęć; od człowieka pracującego do człowieka studiującego i człowieka zabawy. W epoce, kiedy źródło utrzymania będzie stanowić „dochód bez pracy” (wymyślony i uzasadniany *nota bene* przez miłowanego w kręgu polskich liberałów monetarystę M. Friedmana i J. Tobina), kiedy trzeba będzie zabierać bogatym (i pracującym), by zapewnić godne minimum życiowe niepracującym — dzisiejszy wolny rynek (faktycznie mocno zmonopolizowany) i własność prywatna stawać się będą przeżytkiem, a rola własności kolektywnej, społecznej gospodarki rynkowej i innych działań państwa nieuchronnie będzie wzrastać. Trudno przewidzieć ustrój

<sup>1</sup> Zob. P. F. Drucker, *Świat postkapitalistyczny*, Nowa „Res Publika” 1993, nr 6, s. 70-75.

polityczny państwa postkapitalistycznego — kończy swą prognozę Schaff — ale bardziej prawdopodobny jest nie demokratyczny, lecz dyktatorski reżim.

Czyta się ostatnio, że w 1200-osobowej, kompletowanej w USA załodze „Toyoty” znajdują się wyłącznie amerykańscy inżynierowie, i to dobrani dzięki konkursom, że fabryka z tą załogą ludzi (i robotów) będzie produkować rocznie 100 tys. samochodów. Że zarząd „Volkswagen” zmuszony przez związki zawodowe, ku hałaśliwemu oburzeniu strażników „wolnego rynku”, skrócił tydzień pracy do czterech dni. Że — co ciekawsze — również prawicowy rząd francuski rozważa ewentualność wprowadzenia 32-godzinnego tygodnia pracy. Że w niektórych krajach skandynawskich emeryt na własne życzenie, aby umilić sobie dnie i wieczory, może korzystać z usług kilku osób — lektora, sprzątaczkę, kucharkę, osoby towarzyszącej na spacerze itp. (wszystko opłaca ubezpieczalnia).

Już te przykłady każą się głęboko zastanowić nad prognozą Adama Schaffa. Warto pójść śladem naszego mędrca — Jana Szczepańskiego, który w *postscriptum* książki dedykowanej w swoje 80-lecie nie sobie — jak to uczynił przewrotnie Adam Schaff — lecz nam, napisał: „Otóż Polska znajduje się także w zasięgu procesów wywołanych powstawaniem (cywilizacji wszechludzkiej) i ten wpływ może wywołać w społeczeństwie polskim nieprzewidziane mutacje. Zwłaszcza dotyczy to robotników, gdyż — jak pisze prof. A. Schaff — ta cywilizacja przyniesie «obumieranie pracy», co zupełnie zmieni struktury społeczne” (s. 117).